

po mieście — aż kiedy to chmara pojazdów z parady na Pradze wracała, dostrzegł znaną mu dobrze bryczkę, sprzęgniętą w srokacza z wysiadanym ogonem i cisawą kobyłą białonóżką. I tak zwinnie za nią pomknął, że dotarł aż do kamieniczki, przed którą bryka się zatrzymała i do której wszedł był ów woluntarski oficer. Profos nie posiadał się z ukontentowania, teraz bowiem należało zasadić się, dociec, co zaczął i wypatrzeć. Na ten koniec, dla chwycenia języka do pobliskiej winiarni zaszedł i tu w gawędę się wdał z gospodarzem. Aliści z miejsca cały gmach kalkulacji Dziurbackiego poszedł w gruzy. Gospodarz bowiem na pierwsze słowo odparł z przekonaniem:

— Niby ten pułkownik, co tam jego bryczka?! Godny obywatel. A jakże! W kamienicze pana ministra Lelewela mieszka i z nim samym w znajomości, a jakże. Pułkownik Sikorski! Rzetelny obywatel! Generał u niego, personaty, państwo! Maślaczka dwa razy u mnie po baryłce. Sprawiedliwy pan i „zołmierz” duży! Siła, mówią, nawojował Kozaków. Ze trzy bitwy ponoś wygrał albo i lepiej. Dziewczyniny? U pana Sikorskiego? Skąd zaś! Dwóch pacholców aby z nim, bo resztę służby wolnością darował.

Dziurbacki stracił kontenans, lecz zmógł się i jeszcze na rozpytki dotarł do siodlarza, co w tej samej kamienicze warsztat trzymał i do przepkupy, co kramik tuż pod murem miała i do dworku sąsiedniego się zamówił, kędy była stancyjka z wiktem do najej. Lecz i tu i tam odebrał relacje tak gorące, tak pełne zachowania, że się siebie samego zawstydził i stuliwszy uszy, powlókł się ku domowi.

I profosa znów wątplenie naszło, czyli nań uroku nie rzucono. Boć teraz oczywiście się przekonał, że nie żaden raptus podejrzaną smarkulę zaprzęścił, lecz przednich zasług partyzant, czyli że przybłąda prawdziwie, niby żmija miłosierną ręką ukąsiła i czmychnęła między padalce.

Wówczas to, zwabiony ciałą ludą, która na fetę do Saskiego Ogrodu szła, dla myśli rozerwania za nią podążył i tam wpadł na panią Madejową i na historię o Cydziku, gachu Kościółowskiej. Od tej nowiny profosowi aż serce poskoczyło z uciechy. Ozłociłby panią Madejową. Stąd taki weń impet wstąpił i taka dla wdowich zachcianek powolność. Jakoż baba siła plotek o Cydziku mu rozpowiedziała. Ale Dziurbacki zważał, że co innego kobiecie pytlowanie, a co innego rzecz. Madejowa bożyła się, hm, lecz pewnością braki. Jakżeby taki Cydzik mógł personata i pana całą gębą udawać?

Lecz Madejowa ręczyła i deklarowała się całą prawdę mu dobyć i w jednym dniu. Dziurbacki więc skwapliwie zaproszenie wdowy przyjął. Jednak by jeszcze tężej do rozmotania sprawy się przyczynić, wybrał się w czas, rano, na Podwale, do pułkownika, ułożywszy sobie zgrabnie, jak mu należy zacząć, a jak napomknąć o wieściach, które o Sikorskim chodzą. Na Podwale powiedziano wachmistrzowi, że pułkownik jeszcze na noc do obozu ruszył. Profos skonfundował się, bo w obozie do pułkownika zawsze był trudniejszy dostęp i bo taki odjazd nocny zapowiadał niechybnie wymarsz, do którego Dziurbacki nie miał tym razem ochoty. Ale, po namyśle powędrował na Pragę i daremnie, bo baterji już nie było, wyciągnęła o świcie do Wiązownicy, pozostawiając kilkunastu koniuchów z ogniomistrzem, wózkami i porucznikiem Łabanowskim.

Profos dowiedział się od ogniomistrza, że porucznik czeka aby na wydanie amunicyjów z arsenału i maruderów zbiera i że niechybnie w cztery dni także wyciągnie. Zresztą o więcej i pytać nie chciał, bo go strach obleciał, żeby porucznikowi w oczy nie wleść... Tymczasem kiedy całe nieznacznie sunął ku bramie z dziedzińca koszarowego — z za węgla wysunął się porucznik i do wachmistrza.

Dziurbackiemu język się splątał z pomieszania, bo jakże tu od służby, od bitwy się wymigać, kiedy wachmistrzowską piastuje rangę a własne nogi całego go noszą? A przecież, jeżeli pójdzie, to niechybnie znajda przepadnie, przepadnie na zawsze.

Tą trwogą przejęty Dziurbacki jął co tchu się sumitować porucznikowi, na kontuzję narzekać a łąca

niby rekrut, smyk, nowozaciecznik na uczynku przyłapany.

Lecz porucznik Łabanowski ani myślał profosa gwałtować.

— Nie turbuj się, wachmistrzu. Pułkownik sam zważał, że waspanowi bardziej do weterańskich czasów niż do pochodu...

Dziurbackiego coś kolnęło, porucznik skinął mu przyjaźnie.

— Stary jesteś, zmęczony...

— Jeszcze mospanie...

— Tie-tie! Rozumiem i chwałę profosowi dobre zamysły. Ale baterja da sobie radę i bez wasana. Pułkownik sam nawet wspominał, żeby cię należało zreformować z pełnym żołem i na spokojnym chlebie przy magazynach osadzić.

Dziurbackim złość zatrzęsała na to oczywiste poczytywanie go za niedołęgę. Porucznik nie baczył. Jurną odpowiedź profosa za pocziwy zapal wziął.

— No, no, Dziurbasiu, czas aby twoi wnukowie się bijali. Waspanowa pora minęła.



Ogromniem waszmości wdzięczna. Siadajcie podług mnie.

— Nie minęła, proszę porucznika! A jak... jak pułkownik sobie nie życzy...

— Bajesz. Pułkownik z uwagi tylko. Przytem i tak zwolnić cię musiał, bo audytor dywizji wzywa cię na świadki i to w pilnej sprawie, bo na dziś jeszcze. — Pułkownik mówił, że wiesz, o co chodzi...

Wachmistrz na tę wiadomość zmieknął i już nie spierając się, wziął ordynens czuwania nad koszarą i zbierania maruderów, ile że Łabanowski spodziewał się wyciągnąć z amunicjami już pojutrze, i bez mitregi biedką żydowską do Warszawy odjechał. Tu wpadł na Zapiecek, wdział parady mundur i na Żoliborz do kancelaryi audytora poszedł.

Audytor dywizji, którym był kapitan Fiszer, pilnie jął badać Dziurbackiego a dociekać szczegółowo, gdzie i jak papiery owe znalazł. Wachmistrz aż spotniał, bo mu najtrudniej właśnie było wybrnąć gładko z pierwszego łągarstwa, którego się dopuścił, że dziewczyna miała je w łachmanach zaszyte i że w mieszkaniu nie same tylko były papiery. Ale myśli, iż w razie gdyby przyznał, jako trafił na mieszek, bobrując w wozie markietana — nikt by się o los Antoszeki nie turbował i nikt by jej nie szukał — dodała mu rezonu.

Audytor słuchał cierpliwie a pisał tak siarczyście,

że Dziurbackiemu serce rosnęło. Lecz, gdy profos już wszystko opowiedział, audytor zaczął go pytać, kiedy pułkownikowi dał papiery, o której porze, czy nie wie, dokąd pułkownik po odprawieniu wachmistrza się udał, co doń mówił — i wogóle o tyle dziwnych rzeczy zagadywać, że profos wytrzymać dłużej nie mógł.

— Bo to, proszę pana audytora, najważniejsze, żeby się smarkula znalazła...

Kapitan się uśmiechnął.

— Mniemasz, najważniejsze...

— A tak — bo żeby pan pułkownik nie bronił mi smarkuli, nie kazał jej raptem jechać...

— Z imię panem Sikorskim?

— Akuratnie — to jużbym ja od niej, co należy, wydobył. Przytulne było stworzenie i łagodnego obejścia. Ani wiedziało biedactwo, co jej tam w gągany zaszyto. Lecz pan pułkownik ani, ani, mospanie. Na poniewierkę jej nie dam, mówi. Tylemu stworzeniu trza kobiecej ręki nie kordegardy. Ledwie co odrzekł — smarkuli już nie było.

Kapitan Fiszer poprawił się na fotelu.

— Więc pułkownik Bem, zgola niespodziewanie, już słysząc o zamiarach waspana, żeś rad był się zaopiekować dzieckiem...

— Jako żywo, panie audytorze!

— Hm! A nie przypominasz sobie wachmistrza, czyli pułkownik nie zapytywał cię, co stało się z odzieniem dziewczyny?

— Juści, mospanie. — A cóż — powiada — smarkulę na huzara wystroił — a ja mu — bo dla opatrzenia musiałem szmaty na niej pochłostać i precz wyrzucić...

Audytor z tego znów całą litanię zapytań wysnuł. Profos wytrzymał je niecierpliwie, choć pojąć nie mógł, czemu kapitan precz o pułkownika go napiera. Aż kiedy audytor skinął na Dziurbackiego, zapowiadając mu, że trzeba, aby nazajutrz znów się stawił — profos przymówił się nieśmiało.

— Żeby jeno małej dopaść.

— Uczyni się, co należy.

— Bo, nie chwalcę się, gdybym wiedział, dokąd ów oficer zawiózł smerdę...

— Na Święto-Jerską, do dworku kapitanowej Marchockiej. Przecież pułkownik musiał wam mówić!

— Gdzie zaś!

— A więc tak dalece! — No, no, postrzegam, że ci, wachmistrzu, bardzo idzie o tę małą. Bądź spokojny, z pod ziemi jej dobiedziemy. Bo to ważna sprawa, bardzo ważna. Jeno trzeba, byś się skupił. Każdy drobniak niesłychane ma znaczenie. Od twego świadectwa zależy wszystko...

Dziurbacki od audytora wyszedł rozpromieniony. Teraz wątpliwości nie było, że sprawiedliwość upomni się o Antoszkę, no i teraz jemu samemu zwawiej pójdzie, skoro wie, dokąd dziewczynina oddana. Ba, a jeżeli przez Madejową owego Cydzika wytropi — to już aby o swoje się upomnieć.

I dlatego profos tyła jeno na wynurzenia pani Madejowej zważał a tyła

jej się zalecał, aby babę w życzliwości dla się utrzymać i co trzeba, przez nią dobyć. Aż upatrzywszy moment sposobny, ukuł na poczekaniu historję o jakowymś ukrzywdzeniu, którego właśnie od rzekomego pułkownika, co gachem Kościółowskiej był, zaznał i którego dochodzić musi.

Pani Madejowa spejrzała na profosa z wymówką.

— Także to pan Pietruś lekce sobie bierze moją pamięć?

— Skąd zaś, mospanie!

— A tak, bo komu sercem rada, temu czem chcieć wygodę. Jakżeby zabaczyła! Tedy mam dla waspana wszystko, co ci potra.

— Toż mnie prawdziwie jejmość ujęła.

— Więc się jegomości ustap krzynkę, bo mi około pana Pietrza na skrzyni zręczniej...

Pani Madejowa przysiadła się do wachmistrza, krochmalonych spódnic poprawiła i zabębniła nogami po skrzyni.

(Dalszy ciąg nastąpi).